SOBOTA
Nr 90 30 VII 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

DO WENECJI... bardzo proszę

patrz str. 5

Fot. M. Zieleniewska

Wakacje w pełni – ponad pół miliona dzieci na koloniach i obozach

WARSZAWA (PAP). Wakacje w pełni, pogoda – wprost wspaniała! Ponad pół miliona dzieci i młodzieży bawi na koloniach i obozach. Rojno jest w miejscowościach nadmorskich, w górach i nad jeziorami. W lasach moc jagód i poziomek.

W Małej Tresnej nad Jeziorem Żywieckim – harcerski obóz wodniacki. Najmłodsi harcerze zdobywają karty pływackie oraz pierwsze stopnie wtajemniczenia w sztukę żeglowania. Starsi harcerze, ze służby wodnej, pomagają członkom WOPR w patrolowaniu jeziora.

Uczestnicy licznych kolonii na Podbeskidziu poznają kulturę regionu, amatorzy turystyki wędrują na Skrzyczne, Szyndzielnię oraz wokół Beskidów.

Na Rzeszowszczyźnie przyszli zdobywcy przestworzy rozbili obóz szybowcowy w Jesionce. Bawi na nim 40 uczniów szkół średnich, którzy zdobywają umiejętności latania.

Dzieci z Bielska-Białej wypoczywają na kolonii w Ilinie, w sąsiedztwie słynnego pałacyku myśliwskiego Potockich, jednego z najpiękniejszych w tym regionie.

Na wakacyjne szlaki wyruszyli harcerze chorągwi kaliskiej. W programie obozy stacjonarne, żeglarskie i wędrowne. Ci, co nie wyjechali, korzystają z Nieobozowej Akcji Letniej. Czeka ich wypoczynek w bazach i stanicach harcerskich pod hasłem „Tysiąc przygód na tropach ulubionych bohaterów", tygodniowe wycieczki do Warszawy i Krakowa oraz inne atrakcje.

W Imiołkach w woj. poznańskim, na obozie harcerskim w bazie „Orle gniazdo", wypoczywa 300 dziewcząt i chłopców. W programie zdobywanie stopni i sprawności harcerskich. W Steszewku koło Pobiedzisk wraz z naszymi harcerzami spędza wakacje liczna grupa młodzieży z Czechosłowacji.

Tegoroczne lato wyjątkowo obfituje w wojaże zagraniczne. Gościmy u siebie sporo dzieci z sąsiednich krajów, a i nasi licznie podróżują. Z Poznańskiego np. dzieci wyjeżdżają na wakacje do NRD, Bułgarii, Czechosłowacji, na Węgry. W planach – także Finlandia. Najliczniejsza wymiana w woj. poznańskim ma miejsce z Czechosłowacją. Do Brna i innych miejscowości wyjedzie 500 osób i taką samą liczbę dzieci z Czechosłowacji zaproszono do nas. **(kl)**

Miasto wchodzące w morze

(PAP). Na skutek naturalnych ruchów morza, a zwłaszcza silnych sztormów, linia brzegowa tego wielkiego akwenu ulega deformacjom. Zazwyczaj fale morskie zabierają po kilka, a nawet kilkanaście metrów wydm i plaż rocznie, tworząc w nich liczne wyrwy. Tak było ubiegłej zimy m. in. w okolicach Dziwnowa, Dziwnówka i Rewala. Odwrotne zaś zjawisko obserwuje się u brzegów Świnoujścia. W mieście tym, w którym przed kilkoma wiekami fale morskie dopływały do obecnego centrum, lądu stałego przybywa. Od 3 do 5 metrów każdego roku. Naukowcy prognozują, że do 2500 roku obecne wybrzeże świnoujskie przesunie się w głąb morza o około 2 km. **(ws)**

WAWEL – OBLĘŻONY

KRAKÓW (PAP). Cieszy to i smuci zarazem. Cieszy, bo przecież każdy powinien poznać rezydencję polskich królów, smuci – bo dziennie (określili tę normę konserwatorzy zabytków) nie powinno jej zwiedzać więcej niż 1600 osób. Tymczasem codziennie 3000 turystów maszeruje przez królewskie posadzki i parkiety.

Przed II wojną światową Wawel przed „zadeptaniem" bronił fakt, że zamek był rezydencją prezydenta. Rocznie zwiedzało go nie więcej niż 40 tysięcy osób. By ratować wspaniały zabytek trzeba więc jak najszybciej podjąć drastyczną decyzję o pewnych ograniczeniach dla turystów. Wtedy zaistnieje szansa, że i przyszłe pokolenia będą mogły podziwiać jego piękno. **(eb)**

POLSKA I NRD PODPISAŁY POROZUMIENIE O WSPÓŁPRACY MIĘDZY ORGANIZACJAMI MŁODZIEŻOWYMI

Na początku lipca przebywała w Warszawie z oficjalną wizytą delegacja Wolnej Młodzieży Niemieckiej (FDJ) z I sekretarzem Centralnej Rady FDJ, zastępcą członka Biura Politycznego KC Niemieckiej Partii Jedności Egonem Krenzem na czele. Na uroczystym spotkaniu kierownictw polskich organizacji młodzieżowych z niemieckimi gośćmi, które odbyło się 4 lipca w sali Mickiewicza w PKiN, podpisano porozumienie o współpracy organizacji młodzieżowych obu krajów na najbliższe lata. Dokument ten jest pierwszym tego rodzaju w ponad 30-letniej historii kontaktów młodzieży NRD i Polski. Określa on nowy jakościowo etap tej długoletniej współpracy, którego wyrazem jest m. in. zainicjowana przez I sekretarza KC PZPR Wojciecha Jaruzelskiego i sekretarza generalnego KC NSPJ Ericha Honeckera wielka wakacyjna akcja wymiany młodzieży.

W ramach tego porozumienia ZHP na przykład zaprosił 30-osobowy zespół artystyczny z NRD do udziału w X Harcerskim Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej Kielce'83 oraz 10-osobową delegację na XXXI Centralny Międzynarodowy Obóz Pokoju i Przyjaźni w Oleśnicy.

Podczas uroczystości ogłoszono także wspólny apel polskich socjalistycznych związków młodzieży i studentów i Wolnej Młodzieży Niemieckiej do młodzieży Belgii, Holandii, RFN, Wielkiej Brytanii i Włoch oraz wszystkich młodych ludzi Europy Zachodniej – apel przeciwko planom NATO o rozmieszczeniu rakiet średniego zasięgu w Europie.

Stąd, z Warszawy – czytamy w apelu – *ze stolicy kraju, który padł jako pierwszy ofiarą agresji niemieckiego faszyzmu, apelujemy:*

Połączmy nasze siły, aby nie dopuścić do stacjonowania w roku 1983 nowych broni atomowych w Europie. Nie potrzebujemy żadnych amerykańskich rakiet, lecz przedsięwzięć prowadzących do utworzenia strefy bezatomowej w Europie.

Nie chcemy nowych broni masowej zagłady, lecz zmniejszenia międzynarodowych napięć i likwidacji niebezpieczeństwa wojny.

Po prostu: Chcemy Pokoju!

Spotkaniu przewodniczył naczelnik ZHP – Ryszard Wosiński. **(ws)**

Dokumenty podpisują (od lewej) Leszek Leśniak – przewodniczący Zarządu Krajowego ZMW, Egon Krenz – I sekretarz Centralnej Rady FDJ, Ryszard Wosiński – naczelnik ZHP, Cezary Droszcz – przewodniczący Rady Naczelnej ZSP, i Jerzy Jaskiernia – przewodniczący Zarządu Głównego ZSMP.

Fot. CAF

BY KAŻDY CHŁOPIEC I KAŻDA DZIEWCZYNKA MOGLI SIĘ BAWIĆ, UCZYĆ I UŚMIECHAĆ...

Amor Guermassi jest instruktorem w Organizacji Skautów Tunezyjskich. W Polsce gości już po raz drugi. Podoba mu się nasz kraj oraz życzliwość i gościnność Polaków. Jest bardzo zainteresowany organizacją harcerską, jej historią, symboliką. Wiedzę zdobytą o ZHP wykorzysta później w swojej pracy instruktorskiej.

Amor Guermassi był członkiem delegacji tunezyjskiej na XII Międzynarodowym Forum Wymiany Doświadczeń Instruktorskich, które odbyło się w lipcu br. w siedzibie Centralnej Szkoły Instruktorów – w zamku w Oleśnicy. Przez dziewięć lipcowych dni stare mury tętniły życiem i rozbrzmiewały różnojęzycznym gwarem. Zjechało 20 delegacji z różnych organizacji dziecięcych i młodzieżowych z całej Europy: Belgii, Czechosłowacji, Danii, Finlandii, Holandii, NRD, RFN, Rumunii, Węgier, Wielkiej Brytanii, Włoch, ZSRR, a także ze wspomnianej już Tunezji. W oleśnickim zamku gościł także Generalny Sekretarz CIMEA (Międzynarodowego Komitetu Organizacji Dziecięcych i Młodzieży Dorastającej) – Sandor Molnari oraz członek Sekretariatu CIMEA – Cegmid Munkhjargal. Zagranicznych gości z honorami (ale też na pełnym luzie) po dejmowali harcerscy instruktorzy wraz z naczelnikami ZHP: Ryszardem Wosińskim, Krzysztofem Piotrowiczem i Antonim Krysiukiem.

Tematem tegorocznego Forum był problem wychowania internacjonalistycznego w organizacjach dziecięcych i młodzieżowych.

„Chcemy, by każdy chłopiec i każda dziewczynka mogli się bawić, uczyć i uśmiechać, aby żadne dziecko na świecie nie zaznało głodu, choroby i nędzy."

Pod tymi słowami, które są fragmentem Dokumentu Końcowego Forum podpisali się wszyscy – bez wyjątku – uczestnicy oleśnickiego spotkania.

Obok bardzo poważnych sesji plenarnych, zajęć seminaryjnych w grupach roboczych oraz spotkań bilateralnych w programie Forum były także wycieczki do Kotliny Kłodzkiej i Wrocławia, wieczory przyjaźni, projekcja diaporamy. Dziewięć dni upłynęło prawie niepostrzeżenie, a kiedy nadszedł czas pożegnania, zrobiło się smutno. Dziewczęta z NRD, które prosto z Oleśnicy wracały do domu, z płaczem obściskiwały delegacje odjeżdżające do Warszawy. Bernadette i Nikolette z Holandii – uczestniczące w Forum już po raz drugi – pocieszały je jak mogły:

– Nie płaczcie! Napiszemy do Was. A w przyszłym roku może spotkamy się tu znowu. **(jz)**

REDAKCYJNA POCZTA

Jestem brzydki

Od dawna czytam „Świat Młodych", a przede wszystkim „RP". Bardzo interesują mnie problemy i kłopoty nastolatków. Sam mam 15 lat i bardzo poważny kłopot. Jestem paskudnym chłopakiem. Na twarzy mam mnóstwo krost i wągrów. Poza tym jestem wysoki, ale okropnie chudy, a moje nogi są krzywe. Dziewczyny z klasy na mój widok wybuchają śmiechem. Myślałem, że to wszystko skończy się wraz z opuszczeniem szkoły podstawowej. Miałem nadzieję, że w nowej szkole spotkam mądrzejszych ludzi, którzy mnie zrozumieją i nie będą się ze mnie wyśmiewać. Pomyliłem się jednak. Na ulicy wszyscy oglądają się za mną, z trudnością powstrzymując śmiech lub patrząc z politowaniem. W domu płaczę po kątach, a potem z podpuchniętymi oczami wyglądam jeszcze gorzej. Jak każdy chłopak w tym wieku chciałbym mieć swoją dziewczynę, taką, która byłaby najlepszą na świecie i która rozumiałaby mnie we wszystkich sprawach. Są to, jak myślę, tylko nieznaczalne marzenia.

Dlatego, że jestem wysoki, chudy i rudy „kolędzy" nazwali mnie Jamnikiem. Poza tym mam jeszcze wstrętne, odstające uszy. Jedyną moją zaletą jest mój głos i jeszcze ciuchy, na które matka wydaje kupę pieniędzy. Rodziców mam dobrych i wyrozumiałych, lecz jestem dla nich ciężarem. Widzę to i czuję. Oni woleliby mieć wspaniałego i ładnego syna, a nie takiego jak ja. Nieraz patrzą na mnie z litością nie mówiąc nic, a wtedy we mnie coś się dzieje... Nie wiem co mam robić. Liczę na to, że ktoś z czytelników „SM" napisze do mnie.

Janusz

OD REDAKCJI: Chyba przesadzasz, Januszu. Damy Ci dobrą radę. Przestań zwracać uwagę na niedostatki własnego wyglądu, a wtedy i Tobie z sobą samym i innym z Tobą będzie lepiej. Poza tym czy sądzisz, że wszyscy nie mają nic innego do robienia, tylko obserwowanie Ciebie i „podziwianie" jaki jesteś paskudny? Chcesz, aby Cię lubili, więc polub sam siebie i uświadom sobie, że właśnie z tymi rudymi włosami, wielkimi uszami czy chudymi nogami jesteś niepowtarzalny, jedyny, a przez to interesujący. Natomiast na krosty i wągry nie trzeba narzekać, lecz zabrać się do ich zlikwidowania. Radzimy Ci wizytę u lekarza dermatologa, gdyż prawdopodobnie masz po prostu trądzik młodzieńczy, o którym zresztą pisaliśmy całkiem niedawno, bo w 73 numerze „SM" z 21 06 83 r. (es)

Wyrzec się siebie?

Od roku zacząłem inaczej spoglądać na otaczający mnie świat. Widzę wszystko w innych barwach. Fascynuje mnie wszystko. Zacząłem pisać wiersze i opowiadania fantastyczne. Koledzy, którzy je czytały, mówią że są świetne. Jednak po krótkim czasie odsunęły się ode mnie. Mają swoje tajemnice. Jeżeli o coś zapytam, odpowiadają z niechęcią. Domyśliłam się dlaczego. Ich zainteresowania są odmienne od moich. Myślą tylko o tym, jak by poderwać chłopca. Nie zależy im na nauce. Nie potrafię zmusić się tak jak one do myślenia wyłącznie o ukochanym, którego w zasadzie zmieniają co pięć minut.

Droga „RP", czy dla pozyskania sobie sympatii moich rówieśniczek powinnam przestać się uczyć i biegać tylko za chłopcami? Czy aby wejść w ich grono, mam wyrzec się własnych poglądów na życie? Proszę o wydrukowanie mojego listu i radę, może ktoś ma podobne kłopoty.

„Kinga"

OD REDAKCJI: Przede wszystkim powinnaś zastanowić się dlaczego koleżanki zmieniły swój stosunek do Ciebie. Może Ty także nie jesteś bez winy. Jeżeli nie interesuje Cię to, czym one się interesują, po prostu przestań zabiegać o ich względy. Rezygnacja z własnych poglądów i zainteresowań niczego nie zmieni. Najważniejsze jest przecież, aby wiernym pozostać przede wszystkim sobie, szanując jednocześnie odmienność drugich. (es)

PIENIŃSKIE SMYKI

Wszystkie „Pienińskie Smyki" (42 osoby są w zespole) wraz ze swoją kierowniczką zasługują na fotografię, na tej widoczny jest jedynie pierwszy rząd

Kiedy występują przed publicznością, konferansjerkę prowadzą Ania Majerczak i Iwona Saratok – przedstawicielki szkolnego samorządu. Zespół „Pienińskie Smyki" składa się bowiem z uczniów Szkoły Muzycznej w Szczawnicy. Większość to dziewczęta, ale kilka tańców prowadzi Szymek Pilecki (III klasa fortepianu) i czyni to z dużym wdziękiem. Chłopaków – jeśli dobrze policzyłam – jest tylko czterech.

Zespół jest kontynuacją dawnego „Uśmiechu", ale w bardzo odmłodzonym składzie, po prostu „Pienińskie Smyki" są nie większe od zwykłych smyczków. Działają od początku tego roku, ale repertuar mają tak bogaty i różnorodny, że mogłyby przez wiele godzin nie schodzić ze sceny. Śpiewają piosenki ludowe, harcerskie, patriotyczne i wiele okolicznościowych jak np. „Kołysanka dla mamy". W przygotowaniu mają tańce góralskie, które pewnie przypadną do gustu rodowitym obywatelom okolic Pienin, jak też licznie przybywającym tu wczasowiczom. Żadna impreza w Szczawnicy nie odbywa się bez udziału „Smyków", sporo wyjeżdżają również do innych miast.

Podczas przeglądu ognisk muzycznych w Zakopanem „Pienińskie Smyki" wytańczyły i wyśpiewały sobie I miejsce w swoim województwie i zostały zaproszone do Krakowa na finał przeglądu ognisk muzycznych Polski południowej.

Kierowniczką zespołu, choreografem i akompaniatorką w jednej osobie jest p. **Ewa Zachwieja**, która potrafiła wzbudzić zainteresowanie muzyką, śpiewem i tańcem wśród tych szkrabów (spójrzcie na zdjęcie!). Zespołowi patronuje Miejski Ośrodek Kultury, którego szef p. **Stanisław Zachwieja** (w życiu prywatnym mąż kierowniczki zespołu) jest niezastąpiony, jeśli chodzi o wszelkie sprawy organizacyjne, włącznie z nagłośnieniem sal, w których „Smyki" występują.

A głosy mają „Smyki" czyste jak górskie źródełka, twarze zaś uśmiechnięte, gdyż śpiewać i tańczyć lubią naprawdę; nawet dodatkowe próby nie wzbudzają protestów! Czekają ich i w czasie wakacji pracowite dni, bowiem wystąpią podczas „Pieninskiego Lata". **(A.G.)**

Fot. **Wojciech Cyrus**

„Spod tego jawora woda spływa
pójdże sie jej napić kochanecko moja
Bedzies zdrowo,
Nie bede, Janicku, nie bede pić
Ta bystra wodzicka mogłaby mi z licka
Krase zmyć" – tak śpiewają starsze dziewczęta

Pomysł na wolne chwile

WSIĄŚĆ DO POCIĄGU BYLE JAKIEGO...

Rano budzę się bardzo wcześnie i od razu dzwonię do Danuty, mojej szkolnej koleżanki. I jeżeli oświadczy, że jest gotowa, pędem ubieram się, łykam śniadanie, łapię plecak i pędzę na umówiony punkt spotkania. W przedpokoju rzucam mamie: cześć, będę przed czwartą!

Z Danusią udajemy się na dworzec PKP. Wsiadamy w ten pociąg, którego liczba wypadnie podczas gry w marynarza. To sposób, który z Danusią wymyśliłyśmy bardzo dawno. A więc wsiadamy do tego pociągu i wysiadamy na stacji, która nam najbardziej przypadnie do gustu. Najczęściej są to małe wioski, parę domów, a reszta to pola i lasy. Ale czego nam więcej potrzeba? O to właśnie chodzi! Zagłębiamy się w las jak najdalej, szukając polany bez „kurzów" cywilizacji i śmieci, i urządzamy coś w rodzaju biwaku. Rozkładamy koc, na nim prowiant. A potem robimy przegląd regionalnej mapy. Jeśli w pobliżu jest jakieś muzeum, skansen, to cel naszej wyprawy jest oczywisty, jeśli nie ma, spędzamy czas jak na zwyczajnej majówce. Opalamy się, czytamy czasopisma, czasem prowadzimy długie rozmowy o niczym.

Nasze rodzinne miasto nie jest ciekawe. Program w kinach zmienia się co tydzień, dwa, wystawy czasami nudne, a koncerty rockowe odbywają się raz na miesiąc. Jeżeli więc tych imprez nie ma w planie, a leje jak z cebra, konstruujemy nasze małe miasteczko z plasteliny i pudełek od zapałek. Jest to nasz taki mały projekt miasta przyszłości, stoi u mnie na szafce, a kiedy mamy czas, uzupełniamy go.

Monika

OD REDAKCJI: Och, jak i my chcielibyśmy wsiąść do jakiegoś byle jakiego pociągu. Tylko... nie bardzo wiemy czy z gry w marynarza wychodzi numer pociągu, czy też kolejny pociąg? I... dokąd wykupujecie bilet, skoro wysiadacie w miejscowości przypadkowej, przypadającej Wam do gustu? Czy jest to bilet do końca trasy? I... jak przewidujecie, że akurat ta a nie inna mapa będzie przydatna w nieznanym Wam skądinąd terenie? Może macie np. komplet map? Wyjaśnij nam, Moniko, te wątpliwości, ponieważ podejrzewamy, iż nie tylko my, ale i nasi czytelnicy zechcą Was naśladować. (bs)

CZY MOGĘ MIEĆ PRZYJACIELA?

Mój przyjaciel chodzi do innej szkoły i jest ode mnie o rok starszy. Dobrze się uczy, jest miły. Znamy się od tygodnia. To jest mój przyjaciel, a nie chłopak. Bardzo go lubię. Któregoś dnia siedziałem/my na ławce i gdy przyszłam do domu, mamusia powiedziała, że jestem za smarkata, aby wysiadywać na ławce z chłopakiem. Dałam mamie do zrozumienia, że to jest mój przyjaciel, a nie chłopak. Ale mamusia postawiła na swoim. Czy mamusia, gdy miała 12 czy 13 lat nie miała przyjaciela? Nie wiem co mam robić. Wydrukujcie mój list i poradźcie mi. Bardzo proszę.

12-letnia Smarkata

OD REDAKCJI: Przyjań pomiędzy chłopcem a dziewczyną zawsze jest nieco inna niż przyjaźń pomiędzy dwiema dziewczynami lub dwoma chłopcami. Tylko krok dzieli taką przyjaźń od miłości. Szczególnie dziewczęta chętnie widziałyby w swoim przyjacielu oddanego miłego i kochającego chłopca. Dobrze, jeżeli obie strony godzą się na to. Gorzej, gdy tylko jedno z dwojga przyjaciół zabiega o więcej względów i czułości. Wtedy zaczyna się po prostu dramat.

Jeśli nie otrzymuje tego, czego oczekuje, czuje się odrzucone i zawiedzione. Świat wydaje się zły, ponury i wrogi, a każde z dotychczasowych zajęć pozbawione sensu. Łatwo wtedy przychodzi pogodzenie się z coraz to gorszymi ocenami w szkole, a najmniejszą nawet uwagę rodziców lub rodzeństwa traktuje się jak perfidny atak. Nic więc dziwnego, że rodzice tak gorąco sprzeciwiają się takim „przyjaźniom". Wszak sami kiedyś zaczynali się zaprzyjaźniać i zakochiwać. Wiedzą co to znaczy i jak trudno wybrnąć z tych pierwszych niepowodzeń. Ba, nawet jeśli przyjaźń jest udana, a chłopak i dziewczyna chętnie okazują sobie uczucia, to i tak istnieje obawa, że tak bardzo, bardzo będą pochłonięci sobą, iż zapomną o swoich obowiązkach.

A zatem jak uniknąć konfliktu z rodzicami nie rezygnując z przyjaźni swojej sympatii? Wbrew pozorom nie jest to takie proste. Głównym powodem tego konfliktu jest wzajemne niezrozumienie i brak zaufania rodziców do własnego, dorastającego dziecka i odwrotnie. Rodzice chętnie widzieliby w nim wciąż małego, nieporadnego, a więc wymagającego ustawicznej opieki „brzdąca". Zaś ów „brzdąc" czuje się urażony każdym przejawem rodzicielskiej zapobiegliwości, gdyż uważa, że jest już całkiem odpowiedzialny i dojrzały. Trzeba tylko odrobiny dobrej woli i mądrości. Przede wszystkim należy odbudować zaufanie, jeśli zostało ono stracone, lub wzmocnić je. Na pewno nie dokona się tego zachowywaniem w tajemnicy swoich spotkań z przyjacielem czy sympatią. Wymyślanie kłamstw, aby mieć pretekst do wyjścia z domu także nie jest dobrym rozwiązaniem. Jeśli dziewczyna lub chłopak rzeczywiście są sobą zainteresowani i przyjemnie byłoby się im ze sobą spotykać, to dlaczego nie robić tego właśnie w domu? Grzecznie zapytani o zgodę na takie wizyty rodzice z pewnością nie odmówią po raz pierwszy choćby przez zwykłą ciekawość. Potem wiele będzie zależało od Waszego taktu i dyplomacji. Można przecież wspólnie odrabiać lekcje, słuchać muzyki lub pomóc rodzicom na przykład w zakupach. To wzbudzi ich zaufanie i przekonanie, że jesteście już na tyle dorośli, iż można Wam pozwolić na odrobinę samodzielności. Swoim zachowaniem powinniście udowodnić, że istotnie na nią zasłużyliście. Zatem można mieć przyjaciela czy nawet sympatię mając tylko 12 lat, lecz w całej tej sprawie bez względu na wiek chodzi chyba o jedną zasadniczą rzecz by – nie traktować własnych rodziców jak wrogów strzegących braw szczęścia.

ELŻBIETA SIDORKIEWICZ

Wszystkim Matkom

Młodzież na rzecz Centrum Zdrowia Matki-Polki

Do społecznej akcji zbiórki funduszów na budowę łódzkiego Pomnika-Szpitala Centrum Zdrowia Matki-Polki przyłącza się również młodzież.

Oto jeden z meldunków jaki otrzymaliśmy:

„My – uczniowie klasy IV Zbiorczej Szkoły Podstawowej w Dzierążni w woj. kieleckim z okazji Święta Matki złożyliśmy naszym mamom najserdeczniejsze życzenia.

Dla upamiętnienia tego dnia zebraliśmy 1900 zł na pomnik Matki-Polki.

Za naszym przykładem uczniowie klasy VII zebrali 1000 złotych. Jesteśmy pewni, że uczniowie innych szkół włączą się do tej akcji."

Przypominamy numer konta budowy Centrum Zdrowia Matki-Polki. Wpłat można dokonywać na rachunek **NBP VI O/M Warszawa nr 1065-1094-130-2.**

KĄCIK PRZYJACIÓŁ

● Jestem zagorzałym kibicem „nogi". Lubię „Widzew". Gram w piłkę ręczną i trochę w nożną. Przepadam za słodyczami i oranżadą. **Małgorzata Basaj, Radziejów 45, 22-137 Siedliszcze;** ● Urodziłem się 16 lutego 1968 r., moim znakiem jest Wodnik, a szczęśliwą liczbą – 13. Jestem szczupłym szatynem, mam 167 cm wzrostu, psa, akwarium, króliki i ochotę do korespondencji. Gram na gitatrze, pływam, gotuję. Zbieram informacje o UFO, znaczki, adresy firm zagranicznych, zespołów piłkarskich. Lubię ludzi z poczuciem humoru. Kocham wolność i przyjaźń. **Zbigniew Przężycki, Nawojowa Góra 362, 32-065 Kruszowice;** ● Mam 16 lat. Moje zainteresowania dotyczą chemii i biologii. Poza tym ogromnie lubię podróżować, czytać książki przygodowe i fantastyczne, grać na pianinie, słuchać muzyki poważnej. Mogę korespondować w j. francuskim, esperanto, no i oczywiście po polsku, **Anna Kluska, Aleje n/Wałem 16, 56-500 Syców.**

LWP'83

Nieobozowa Akcja Letnia ma wiele dobrych, wypróbowanych tradycji. Jedną z nich jest „wyprawa po złote runo" – doroczne zbiory ziół, owoców leśnych i grzybów. Nie trzeba chyba opisywać płynących stąd pożytków i długo namawiać do podjęcia pracy: umożliwia ona nie tylko solidne uzupełnienie zapasów w naszych domowych spiżarniach, ale także zarobienie sporych nawet sum za sprzedane zbiory.

O sprawach związanych ze zbieraniem ziół pisaliśmy w sobotnich przedwakacyjnych numerach (Jerzy Dąbrowski „Elementarz zielarski"), więc na ten temat nie będę się też rozwodził. Kilka słów za to o grzybach.

- Jeśli chcecie zbierać grzyby na sprzedaż, dowiedzcie się uprzednio w punkcie skupu przedsiębiorstwa „Las" lub w nadleśnictwie, na jakie gatunki jest zapotrzebowanie, jak dokładnie wyglądają te grzyby, ile za nie płacą.
- Poznajcie grzyby trujące, by nie mylić ich z jadalnymi.
- Zaopatrzcie się w kobiałki do zbierania oraz noże do czyszczenia grzybów.

Jeśli pieniądze za zebrane leśne runo będą szły do wspólnej kasy zastępu, ustalcie zawczasu, na co je przeznaczycie.

Wasz WAGABUNDA

Do walki, dziewczyny (7)

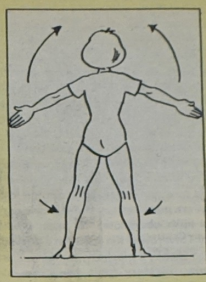

INSTYTUT PIĘKNEJ SYLWETKI

Dziś – **pełny relaks**. Żebyście się nie przetrenowały, bo wierzymy święcie, że ćwiczycie jak szalone!

Ćwiczenie-zabawa: **pajacyk**.

Stajemy w rozkroku, ręce wyciągnięte na boki. W podskoku łączymy nogi, jednocześnie klaszczemy w dłonie nad głową. W tym ćwiczeniu nie ma żadnych ulg: 20 razy!

Nastka

Z antologii „Ku pamięci!"

NA GÓRZE RÓŻE...

...a na dole – co komu ślina na język, czy też raczej natchnienie na papier przyniesie.

Przyjaciołowi wpisujemy:
Na górze róże, na dole mole,
my się kochamy jak Bolek i Lolek
albo:
Na górze róże, na dole schab,
my się kochamy jak Flip i Flap.
Wrogowi:
Na górze róże, na dole bez,
my się kochamy jak kot i pies.
Przyjaciółce:
Na górze róże, na dole maki,
niech cię kochają ładne chłopaki
albo:
Na górze róże, na dole wianek,
niech cię pokocha z „Pancernych" Janek.
Można jeszcze tak:
Na górze róże, na dole kluz,
nie kochaj chłopców, tylko się ucz.

I tym podobnie.
(Z listów, które nadesłały **Renata Bugowska** z Żuromina, **Anna Makowska** z Pasztowej Woli, **Marzena Rezulak** z Zawady, **Ewa Gołąbek** z Suwałk.)

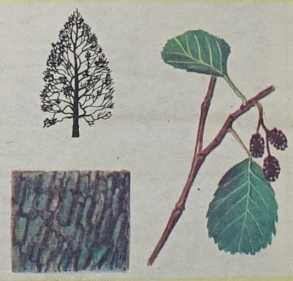

NASZE DRZEWA *Cholewa/Kłosowski*

OLSZA CZARNA

(Alnus glutinosa)

Olsza czarna – drzewo liściaste z rodziny brzozowatych umożliwia zalesianie nagich, ubogich gleb, gdyż tworzy warstwę próchniczą, skutkiem czego sadzona jest jako pionier.

W ciągu 120 lat życia, porastając brzegi rzek i potoków, mokre łąki i gleby bagienne – wzrasta do 20 m, z tym, że najszybszy przyrost wysokości przypada między 1–20 rokiem życia i wynosi 72,5 cm rocznie.

Szczególną wartość ma jedna z największych olszyn na Pomorzu – „Zaleskie Łęgi". Jest to gęsty las o charakterze puszczy, na bagiennym, przeważnie grząskim terenie. Nasiona tego drzewa są ulubionym pożywieniem czyżyka.

Spokrewniona z nią olsza szara (*A. incana*) – 10-metrowej wysokości, z zawsze owłosionymi gałązkami, rzadko występuje w stanie pierwotnym.

Drewno olszy czarnej jest twarde. Świeże ma barwę żółto-czerwoną (w przeciwieństwie do jaśniejszego drewna olszy szarej), a po wysuszeniu – rdzawoczerwoną. Ponieważ na lądzie jest ono znacznie mniej wytrzymałe niż w wodzie, najczęściej używane jest do budowli wodnych.

ROZBITEK Z JEZIORA ARALSKIEGO (1)

Używa się geograficznej nazwy Jezioro Aralskie, ale jest to właściwie bezodpływowe jezioro-morze, o powierzchni 66,5 tysiąca kilometrów kwadratowych, wliczając w to powierzchnię wysp. W Związku Radzieckim, na terenie którego znajduje się ten zbiornik wodny, używa się nazwy Morze Aralskie. I oto od niedawna owo morze-jezioro ma swojego Robinsona, autentycznego rozbitka. Przydarzyło się to litewskiemu sportowcowi Paulusowi Normautasowi. Nie gdzieś na szerokim przestworzu oceanu, ale tam – w Azji Środkowej, między Kazachstanem a Uzbekistanem. Dziś – jak doszło do tego, że Paulus stał się mimo woli Robinsonem.

Od dawna już nęcił mnie jeden z archipelagów Morza Aralskiego. Krążyły legendy o obfitości ryb w tamtejszych wodach, o olbrzymich sumach w cieśninach między niezliczonymi wyspami. Kiedy więc wczesną wiosną trafiło mi się dwa tygodnie wolnego, mimo że na Morzu Aralskim jest wtedy jeszcze bardzo zimno, zdecydowałem się na tę wyprawę. Miała być jedynie rozeznaniem. Swą główną pasję – podwodne strzelanie sportowe – postanowiłem odłożyć na następny raz. Kombinezon płetwonurka zostawiłem więc w domu.

Zamierzałem dostać się na największą wyspę wymarzonego archipelagu, gdzie w rybackiej wiosce znajdą zapewne schronienie i słodką wodę.

Drugiego dnia wyprawy o świcie ujrzałem archipelag. Przypuszczałem, że zostało mi do celu jeszcze 20 mil. Ponieważ jednak byłem bardzo zmęczony i całkiem zdrętwiały – całą dobę przesiedziałem w małej nadmuchiwanej żaglówce bez zmiany pozycji – skierowałem się ku najbliższej wyspie, by rozruszać się i rozejrzeć. Wyciągnąłem łódkę na brzeg, wyjąłem z niej torbę podróżną. Po namyśle odwiązałem jeszcze od masztu kuszę podwodną, pleczak zaś zostawiłem.

Nagle tuż spod moich nóg poderwała się do ucieczki para dość pokaźnych kuropatw. Zagrała we mnie krew myśliwego! Kuropatwy uciekały od krzaka do krzaka, odciągając mnie coraz bardziej od łódki, aż zniknęły na dobre w wysokiej zeszłorocznej trawie. Zrezygnowawszy z polowania, bez pośpiechu wracałem do łódki. Już z daleka ujrzałem żagiel na morzu. Około 400 metrów od brzegu! Czyżby ktoś podpływał? Trwoga chwyciła mnie za gardło: przecież to moja łódź! Uniesiona przez krótkotrwały przypływ i odpływ, teraz odpływała, popychana wiatrem.

Podbiegłem do torby po płetwy i w wełnianym swetrze skoczyłem w morze. Lodowata woda zaparła mi dech, obezwładniła mnie. Do łódki było zaledwie niecałe pół kilometra, a ja nie potrafiłem pokonać bariery zimna! (Temperatura wody 8–9 stopni Celsjusza). Zawróciłem po przepłynięciu zaledwie 20 metrów. Na wyspie nie znalazłem nic, z czego można by sklecić tratwę. A łódka odpływała coraz dalej i dalej...

Szczęście, że miałem zapałki. Rozpaliłem ognisko z sitowia i suchej trawy. Będę dawać sygnały. Przeczekałem w napięciu cały dzień, lecz na horyzoncie nie ukazał się żaden statek. Rozłożyłem wszystko, co mi pozostało: strzelby, płetwy, maska, nóż myśliwski, soczewka, przybory toaletowe, celofanowy obrusik, pół bochenka chleba, 15 gram herbaty, 22 kawałki cukru, 6 cebul, 2 główki czosnku, 8 pudełek zapałek i książka. Ubranie – to, co na mnie. A tutaj tylko saksaul, sitowie i trzciny...

c.d.n.

Ja i mój pies (6)

PSIE UNIWERSYTETY

Być może niektórzy z Czytelników są nieco zawiedzeni, ponieważ oczekiwali, że od samego początku będę tu podawał przepisy na wyuczanie psa różnych sztuczek. A oni, mając w jednej ręce kijek, a w drugiej kawałek kiełbasy – szybko wbiją w głowę swego psa co trzeba.

Otóż tak pojęta tresura – mimo iż przeświadczenie o niej pokutuje nadal dość powszechnie – nie jest właściwie już nigdzie stosowana. Najlepsi treserzy, a są nimi od dawna ci, którzy przygotowują dorosłe zwierzęta – nie tylko psy – do występów w filmach, czy ostatnimi laty w telewizji – w ogóle nie mają stałego programu dla swoich wychowanków. Wszak każdy reżyser przewidujący występ jakiegoś zwierzaka w swym filmie, wymaga innych, nieraz diametralnie różnych umiejętności. A więc tego rodzaju tresura na najwyższym poziomie, polega na wyrobieniu w zwierzęciu nieustannej, pełnej gotowości do wykonywania zadań, jakie by nie były. Jakieś małpiarskie powtarzanie ciągle tego samego gagu, w ogóle nie wchodzi tu w rachubę! Są to bowiem zwierzęta gruntownie wykształcone w jednym – najdoskonalszym, jak tylko można sobie wyobrazić porozumiewaniu się ze swym panem. Rodzaj wydawanych im później poleceń oddgrywa w tym przypadku drugorzędną rolę.

Poznałem kiedyś znakomitego tresera polskiego, pana Aleksandra Kułago, który przygotowywał zwierzęta do wykonywania zadań w filmie. Jego ukochana suka Aida, była najwszechstronniej wyszkolonym psem jakiego widziałem. Skończyła kursy ratowania tonących, szkołę psich przewodników niewidomych, oraz przeszła szkolenie psów obronnych. Kiedy byli razem, Aida bez przerwy obserwowała swojego pana. Ona była nastawiona tylko na jedno – na sygnał od niego. Ten duży, czarny pies o błyszczącej sierści, który występował w ponad 30 filmach, w większości z bohaterami dziecięcymi – wyglądał na uosobienie łagodności. I taki też był. Bawił się z dzieciakami jak szczeniak. Ale wystarczyło jedno polecenie, aby stał się naprawdę groźnym, nieomal dzikim psem.

Jeśliby dostała takie polecenie, rzuciłaby się na każdego – bez zastanowienia. Również bez ostrzeżenia rozszarpałaby każdego, kto wykonałby nagle jakiś wrogi gest pod adresem pana Aleksandra. No, ale to są już psie uniwersytety. My jesteśmy w podstawówce. (jd)

Na deszczowe dni

Żaglówka w butelce (6)

Pozostały nam wyłącznie prace montażowe. Nim do nich przystąpimy, trzeba przygotować podstawę pod butelkę. Może nią być odpowiednio przycięte pudełko z tektury, lub wygięte rusztowanie z drutu, albo zbite ze sklejki lub deseczek. Ten detal pozostawiamy Waszej pomysłowości. Podstawek nie wymagają jedynie butelki prostokątne, ale te z kolei najtrudniej zdobyć.

A teraz czynimy pierwsze montażowe kroki osadzając maszt. W tym celu, przez otworek w dolnej części masztu przewlekamy miękki drucik. Zaginamy go lekko po obu bokach masztu pod kątem prostym i obydwa końce przeciągamy przez otwory w pokładzie kokpitu (rys. 9 i 10). Nim zabezpieczymy drucik skręcając go pod kadłubem, sprawdzamy: czy pięta kolumny masztu nie opiera się o pokład, czy można maszt położyć, czy dźwignia z drutu spełnia swoje zadanie. Jeśli maszt stoi na pokładzie, drucik zmieniamy na grubszy by w ten sposób maszt unieść nieco wyżej. Dopiero teraz drucik skręcamy pod kadłubem. Nie robimy jednak potężnego, drucianego węzła, bo będą kłopoty z „wodowaniem".

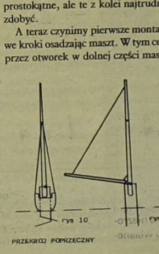

PRZEKRÓJ PODŁUŻNY

ZAGADKA LWP'83

Kiedy pytaliśmy w redakcji – co przedstawia to zdjęcie, wszyscy odpowiadali, że „jakieś korzenie". Jest to odpowiedź nie tylko błędna, ale również świadcząca o tym, że zapytany „idzie po najmniejszej linii oporu". Odpowiedź prawdziwa brzmi: to są wyjęte z wody gałązki porośnięte gąbką słodkowodną.

Fot. J. Dąbrowski

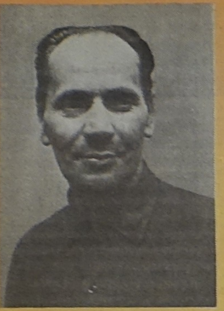

Kiedy dla uczczenia kolejnej rocznicy sierpniowego zrywu powstańczego okupowanej Warszawy zdecydowaliśmy się zamieścić poniższy fragment „Pamiętnika z Powstania Warszawskiego" – Miron Białoszewski był jednym z nas, współczesnych mieszkańców stolicy. Dziś Białoszewski spoczywa na cmentarzu Powązkowskim – zmarł 17 czerwca, mając 61 lat.

Ze stolicą związany był nierozerwalnie. Tu studiował polonistykę na tajnych kompletach w czasie okupacji, tu żył i tworzył po wojnie. Jego utwory poetyckie i prozatorskie były niezwykłym w literaturze zjawiskiem; trudnym, ale równocześnie takim, obok którego nikt nie mógł przejść obojętnie. „Obroty rzeczy", „Rachunek zaściankowy", „Mylne wzruszenia", „Było nie było", „Szumy, lepy, ciągi", „Donosy rzeczywistości" – wszystkie te tytuły są znane i kryją treść głęboką, mądrą, przemyślaną.

Arcydziełem z pewnością wybijającym się ponad wszystkie jego utwory jest książka „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego". Jest to świadectwo uczestnika wydarzeń, świadectwo tragedii ginącego miasta – prawdziwe i przez to wstrząsające, ukazujące całą tragiczną prawdę tamtych dni.

„PAMIĘTNIK" jest dziełem odmiennym od prozy i poezji Białoszewskiego, ale i w nim brzmi charakterystyczny język twórczy, jego „poezjoproza".

Białoszewski i w życiu, i w pracy literackiej był człowiekiem poszukującym. Był inny, niż pisarze jego pokolenia, był osobno... Zasłynął jako twórca „teatru osobnego" w swoim mieszkaniu na Tarczyńskiej w Warszawie. Sam w nim występował i sam realizował swoje, nie zawsze z poklaskiem przyjmowane przez krytykę i publiczność, koncepcje antydramatyczne.

My zaś, zespół redakcyjny „Świata Młodych" wspominamy nie bez dumy, iż był również, na początku lat pięćdziesiątych jednym z redaktorów naszej gazety.

Lektura tego dramatycznego fragmentu przedstawiającego płonącą Wolę niech przyczyni się do tego, byście sięgnęli po całość wspomnień. Warto spojrzeć oczyma Białoszewskiego na gorące dni sierpnia 1944 r. (eb)

„PAMIĘT… Z POWSTA… WARSZAWSKIEG…

MIRON BIAŁOSZEWSKI

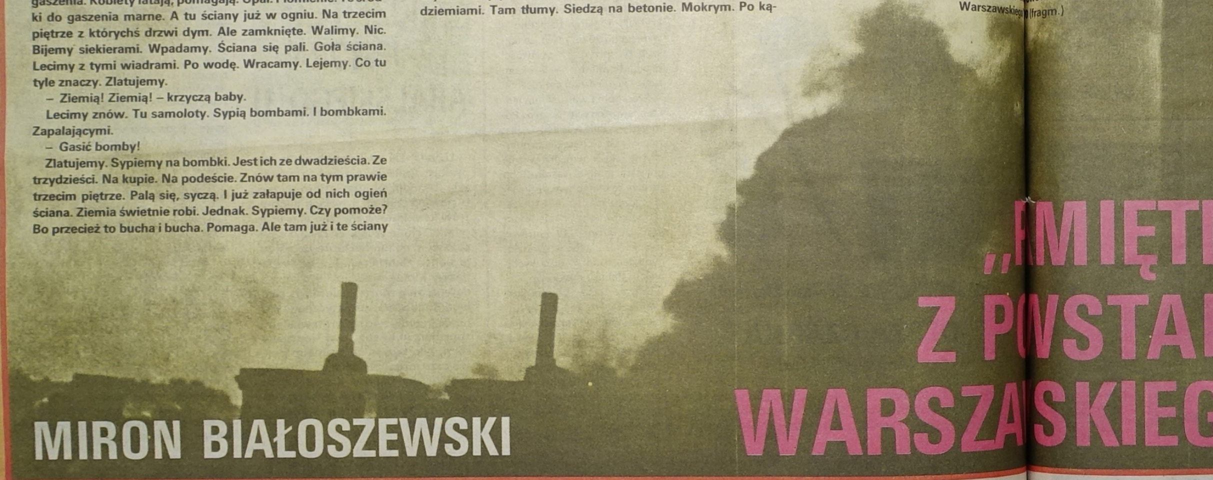

Niedziela zaczęła się dopiero. Szła groza, jakiej dotąd nie było. Wtedy właśnie postanowienie rozejścia się w trzy strony. Staszek na Sienną. Irena zostaje. Ja znów do siebie. Słońce, upał, dym, pożary, huki, lecę do domu. Wtedy chyba właśnie zastałem ciocię Józię. W południe Niemcy, wyprzedzeni przez własowców, zaczęli przypuszczać ostateczny atak na plac Kercelego, Towarową, Okopową. Kercelak upadł. Linia naszych cofała się. Leżeli już przy barykadach na rogach Wroniej. I strzelali. Ale po linii Towarowa – Kercelak – Okopowa, miały padać dalsze ulice, już nie Wola, ale ku Śródmieściu. (Zresztą i my na Chłodnej aż do linii Kercelaka, Towarowej i Okopowej byliśmy właściwie w Śródmieściu, nie tylko w tym tradycyjnym administracyjnie, ale i w Śródmieściu powstaniowym, przynajmniej tak to ustalono przed wybuchem powstania w dowództwie przy podziale Warszawy na kilka obwodów). Na razie broniło się tego paska między Towarową i Kercelakiem a Wronią. Ale atak szedł nie tylko po jezdni, z piechoty, czołgów, z artylerii, karabinów, granatów, miotaczy ognia, pepanców, ale – co najgorsze – z nieba. Samoloty bez przerwy teraz, wspierane tamtą resztą, stadami leciały, wracały i znów leciały, i bombardowały dom po domu, oficynę po oficynie. Chłodną, Ogrodową, Krochmalną, Leszno, Grzybowską, Łucką. Itd. Waliły i paliły. Raz krzyk:

– Do odgrzebywania zasypanych!

Zgłosiłem się. Czekamy przy bramie. Odwołują nas.

– Już poszli. Inni.

Ale zaraz znów krzyk:

– Pali się Chłodna 39! Kto do gaszenia?!

Wylatujemy. To akurat naprzeciwko. Cały dom pali się. Chyba trzypiętrowy. Wody nie ma. Jest, ale obok z pompki, trzeba z kubełkami. Przez dziurę w murze. Jest i ziemia do gaszenia. Kobiety latają, pomagają. Upał. Płomienie. Te środki do gaszenia marne. A tu ściany już w ogniu. Na trzecim piętrze z którychś drzwi dym. Ale zamknięte. Walimy. Nic. Bijemy siekierami. Wpadamy. Ściana się pali. Goła ściana. Lecimy z tymi wiadrami. Po wodę. Wracamy. Lejemy. Co tu tyle znaczy. Zlatujemy.

– Ziemię! Ziemię! – krzyczą baby.

Lecimy znów. Tu samoloty. Sypią bombami. I bombkami. Zapalającymi.

– Gasić bomby!

Zlatujemy. Sypiemy na bombki. Jest ich ze dwadzieścia. Ze trzydzieści. Na kupie. Na podeście. Znów tam na tym prawie trzecim piętrze. Palą się, syczą. I już załapuje od nich ogień ściana. Ziemia świetnie robi. Jednak. Sypiemy. Czy pomoże? Bo przecież to bucha i bucha. Pomaga. Ale tam już i te ściany prawe i lewe. Palą się. Lecimy na dół. Mijamy się. Dobrze, że jest nas trochę. I że te kobiety. Dają gotowe już kubły z ziemią (nie jestem pewien, czy wody nagle nie zabrakło). Podają nam przez dziurę w murze, żebyśmy nie musieli niepotrzebnie przelatywać. Donoszą do schodów. Łapiemy od nich. Wlatujemy. Pamiętam, że leciałem po tych bombkach. Że po nich deptałem. Bo nie było inaczej jak. Gasiło się je po drodze. Już dogasające. Cała ta sterta. Ale co najlepsze: ściany w płomieniach coraz mniejszych. Nie do wiary. Za którymś sypnięciem ogień się skurczył do zaniku. Cud! I ugasiliśmy. W tym piekle. Akcja skończona. Wracamy.

Natarcie się powiększa. Coraz więcej tego bombardowania. Uratowani, jako tako przytomni i cali, zlatują się do naszych piwnic. Straszny popłoch. Na podwórku też. My sami w popłochu. Przenosimy się do ciotki Józi. Przez tę dziurę. Na Ogrodową 49. Tam jakieś baby na podwórzu przy kuchniach, dymach, i chłopy biją się siekierami. Gonią. Rzucają nimi. Latają siekiery w powietrzu. Nic nie przesadzam. Idziemy do mieszkania ciotki na czwarte piętro. Ale tam nie da się dłużej wytrzymać niż dwie minuty. Razem z sublokatorką, starszą panią, ciotki Józefy i z jej bratem (też siwym) zlatujemy do kogoś. Do jakiejś kuchni. Siadamy. Sublokatorka ciotki Józi podaje siwemu bratu:

– Masz chleb z cukrem. – Bierze, je.

– Dać ci jeszcze chleba z cukrem?

Kiwa głową.

Ja tam nie mogłem nic jeść od dwóch dni.

Nagle takie huki, wstrząsy, że lecimy na dół.

Zbombardowanych przybywa. Wszystko siwe. Od gruzu. Zadymione. Ciotka Józia, Stefa, Mama uważają, że ta piwnica słaba, dom z desek, trzciny z wapnem i z cegieł tylko. A sąsiednia – 51 – kleinowskie sklepienia – nowy dom, nie otynkowany jeszcze. Przenosimy się szybko dziurami, podziemiami. Tam tłumy. Siedzą na betonie. Mokrym. Po kątach karbidówki. Mama, ciotka Józia i S… z siebie bety, rozkładają się na jakimś wolnym … W tym tłumie. Harmider. Huki, pociski, bomby … ymania. A najgorsze, że idą ci Ukraińcy. I różn… Wciąż o tym mówią. Ludzie. Po dwudziestu la… ie teraz, w 1964 i 65 roku – podano dokładne … wiadków z obydwóch stron. Nasze pisma dały w… zwalono ludzi na samej Woli w samą sobotę i n… sierpnia. Kilkadziesiąt tysięcy osób. Niektóre nie… e podpalono razem z tamtymi niby zabitymi … ich na wspólne stosy. Ze szpitala Świętego … róg Wolskiej i Młynarskiej (teraz Szpital Zakaź… zstrzelali wyrzucali żywcem chorych przez okna … iec. Tam podpalali, jak szło. Żywych czy nie. Zag… miejscu. Też tak, jak szło. Jako dziennikarz w 19… m wysłany na moment ekshumacji. Zajechałe… porterem. Weszliśmy na ten dziedziniec. Trzy czy … wygrzebanych świeżo, obrośniętych ziemią be… brył. Kojarzyło mi się to z różnościami. Z kotleta… utytłanymi w czymś. Jeden pamiętam napraw… , jedną, wystającą, Reszta utytłana.

Wpadła nagle do schronu sanitariu… pomoże nieść rannego?

I nagle, po hałasie – i pomimo huków …

– Nikt nie pomoże?

Było kobiet ileśset. I chyba z tylu … wszystko znieruchomiało.

– Czy naprawdę nikt?

– Ja pójdę – wstałem.

Nikt się nie ruszył. Wyskoczyłem za sa… Po schodach. I wskoczyłem wprost w ulicę. Og…

Miron Białoszewski „Pa… owstania Warszawskiego" (fragm.)

◀ Międzynarodowy rekord czwórboju „Świata Młodych" w skoku wzwyż chłopców wynosi dziś 192 cm! Mistrz olimpijski z Moskwy, Gerd Wessig, mając 15 lat, skakał zaledwie 160 cm. Na zdjęciu czwórbojowy rekordzista, Sergiej Kowalew (ZSRR)

Prognozy sportowych reko… na Los Angeles i... rok 20…

Współtwórca nowożytnych olimpiad, francuski baron Coubertin, twierdził, że zwycięstwa w igrzyskach są mało ważne. dla zawodnika powinien się liczyć sam start, rywalizacja oraz wcześniejsze przygotowanie się do niej. Jednak szlachetna idea Coubertina przeżyła się i straciła swoją wartość. Celem startów sportowca stały się głównie zwycięstwa, rekordy. Dziś nie wszyscy wiedzą co kryje się za każdym wynikiem na światowym poziomie. Przeciętny kibic, obserwujący zmagania np. lekkoatletów, dostrzega jedynie walkę człowieka z dystansem, wysokością i czasem. Ale ta walka ma swój początek w pracowniach i laboratoriach. Bez udziału naukowców nie moglibyśmy nawet marzyć o tak szybkim przesuwaniu się „granicy ludzkich możliwości". Jeszcze kilkadziesiąt lat wstecz mówiono, że odcinek 100 m można przebiec najwyżej w czasie 10,5 sek., że w dal uda się skoczyć 8 m, a wzwyż – 2,20 m...

Takie rezultaty obecnie nie dziwią nikogo i osiągają je nawet juniorzy. Właśnie dzięki wprzęgniętej w sport nauce.

Przykład skoku o tyczce jest tu najbardziej szokujący i wyjaśniający niemal całość zagadnienia. Na igrzyskach w roku 1896 Amerykanin William Heught pokonał poprzeczkę na wysokości 3,30 m. Jego wyczyn był długo komentowany w sportowej prasie. Ale po kilku latach porzucono tyczki wykonane z drewna i zastąpiono je bambusowymi. Rekord Heughta poprawiono o kilkanaście centymetrów. Później wypróbowano metal i poprzeczkę umieszczono znacznie wyżej. Wreszcie przyszła era włókien szklanych i nie było prawie tygodnia, abyśmy nie słyszeli o coraz znakomitszych osiągnięciach. Supersprężysty fiberglass spełnia rolę katapulty i wyrzuca zawodników na fantastyczne wysokości. Współczesne tyczki wykonuje się z myślą o parametrach konkretnego sportowca. Bierze się pod uwagę jego prędkość na rozbiegu, ciężar ciała, wysokość, siłę odbicia itp. Nie dziwmy się, że w samym tylko roku 1980 aż siedem razy poprawiono rekord świata i wreszcie Władysław Kozakiewicz, podczas igrzysk w Moskwie, zatrzymał go na 5,78 m. Nie na długo zresztą. Następnego lata Giennadij Wołkow uporał się z poprzeczką leżącą o 6 cm wyżej...

Podobnie ma się historia w innych konkurencjach lekkoatletycznych i w innych dyscyplinach. Zwłaszcza tych, w których zawodnicy korzystają ze skomplikowanego sprzętu. Nauka wtargnęła i do szkolenia. W sukurs trenerom przyszedł komputer, potrafiący obliczyć wydolność zawodników, wyselekcjonować tych, którzy rokują największe postępy. A w farmaceutycznych laboratoriach wyszukuje się specjalne, gwarantujące szybki wzrost siły mięśni i szybką ich regenerację, pożywki. Często nie mają one wiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, ale to już inna sprawa.

Igrzyska zawsze skupiają uwagę sportowego świata. Zdobyte na nich medale mają przecież najwyższą wartość. Stąd też istny grad znakomitych osiągnięć. Podczas moskiewskiej olimpiady (chociaż nie startowali wszyscy najlepsi) ustanowiono aż 36 rekordów świata i 74 igrzysk.

W Montrealu, Monachium i Meksyku było podobnie. Dowodzi to jeszcze raz niemożliwości ustalenia ostatecznego rezultatu, który będzie nieprzekraczalną granicą dla ubranego w dres człowieka. Nawet gdyby to czynił najdoskonalszy komputer. Zresztą, co wykazała praktyka, nie zawsze można mu wierzyć.

Elektroniczna „wróżka" pomyliła się w swoich przewidywaniach jeżeli chodzi o rekord wspomnianego już Wołkowa. Wyliczyła wprawdzie, że jest on najbliższy pokonania wysokości 5,82 m, ale uczyni to dopiero w sezonie 1984. Rosjanin zrobił to znacznie wcześniej i wbrew przewidywaniom „dorzucił" jeszcze 2 cm.

T… …yskami w Moskwie komputero… zakładały, że do zdobycia zło… wystarczą następujące wyniki: dla … wzwyż – 2,36 m, dla skoczków o tycz… m, dla pływaczek na 100 m stylem dowo… 79 sek. ...

Przy… się zatem faktycznym rezultatom tej oli… Gerd Wessig (NRD) stanął na najwyższ… m z rezultatem 2,36 m, Władysław Kozak… 5,78 m (był bliski pokonania 5,80 m), a … Krauze (NRD) przepłynęła „setkę" w 54,…

Tu … …ia" elektronicznego mózgu były niemo… …e. Dlaczego o tym piszemy? Otóż szkole… …ej klasy zawodnika nie może dziś toczy… …sobie, bez założenia konkretnego celu, … przygotowanie szczytu formy na ściśle … termin. Stąd też ważne są prze… powi… …puterów, bowiem wpływają one na ca… przygotowywania sportowców do naj… …ch imprez.

Prz… …rzyska w Los Angeles. I znowu pierws… …ował" siedzący przy aparaturze matem… …ajmy mu głos. Główne zawody roku … …ają sprinterzy, którzy pokonają

Ko…

Do Wenecji... proszę bardzo

Bez paszportów, dewiz i załatwiania innych formalności możecie wybrać się tam już w najbliższych dniach. Zawiezie Was znińska kolejka wąskotorowa. Co prawda nie do Wlochi, nad brzeg Adriatyku, tylko nad jezioro Weneckie w woj. bydgoskim, ale tę polską Wenecję też warto odwiedzić. Najpierw trzeba dojechać do Żnina, skąd kolejka – jak przed 90 laty – rozpoczyna swój bieg. I chociaż obecnie wykorzystuje się ją głównie do przewozów towarowych – stały ruch pasażerski zlikwidowano w 1964 r. – to jednak w sezonie letnim udostępniana jest turystom, dla których stanowi wielką atrakcję. Wsiadamy i my. Kolorowe, małe wagoniki pędzą z prędkością 20 km/h wśród malowniczych pagórków i jezior, przez środek pałuckiej ziemi. Szkoda tylko, że nie poczciwa ciuchcia, ale nowoczesna, gwizdząca przed stacjami lokomotywa ciągnie wagony, przez co wyprawa ta traci nieco na uroku.

Po dwudziestu minutach podróży wita nas Wenecja. Wysiadamy, by obejrzeć pierwsze w Polsce – otwarte w 1972 r. – Muzeum Kolei Wąskotorowej. Po tym osobliwym skansenie oprowadza nas oraz bardzo interesująco, z humorem opowiada o historii i pracy na kolei pan Leon Lichowski, długoletni jej pracownik, dziś emeryt i przewodnik po muzeum. Stare wysłużone parowozy i wagoniki budzą szacunek. Są tu też dawne latarnie, znaki sygnałowe, budynek stacyjny z poczekalnią i staroświeckim bufetem, z zabytkowym telefonem oraz naftowymi lampami u sufitu, pompa z pitną wodą, sprzęt, narzędzia i inne akcesoria używane do obsługi taboru i ruchu kolejowego. Również stacyjny staruszek zegar, który podobnie jak przed wiekiem nadal dokładnie odmierza czas. Wszystko razem tworzy niezwykłą scenerię, którą znamy tylko z filmów.

Nie opodal muzeum znajdują się ruiny XIV-wiecznego zamku. Zgodnie z miejscową legendą, co noc o północy pojawia się tam „Krwawy Diabeł". Duch jednego z właścicieli – Mikołaja Nałęcza, starosty generalnego Wielkopolski, który strzeże nagromadzonch w drodze rozboju skarbów. Nie widziałyśmy go, ani też nie słyszałyśmy, była bowiem dopiero godzina 12 w południe.

Ponieważ na następny kurs kolejki trzeba było długo czekać (kursuje ona tylko trzy razy dziennie) zdecydowałyśmy więc, że przejdziemy się do odległego zaledwie o trzy kilometry Biskupina, by obejrzeć wykopaliska i rekonstrukcję prasłowiańskiego grodu, założonego przed blisko 2,5 tys. lat. Zdążyłyśmy przed kursem powrotnym do Żnina.

Pełne wrażeń wracamy zatłoczoną kolejką, w miłym towarzystwie rozśpiewanych „Polnych bratków" – uczniów ze szkoły podstawowej nr 2 ze Żnina.

Jeśli podczas wakacyjnych wędrówek zawitacie na Pałuki – region rozciągający się między rzekami Wełną i Notecią, radzimy skorzystać z okazji i odbyć tę ciekawą wycieczkę. (ws)

Fot. M. ZIELENIEWSKA

omputer na etacie wróżki

dystans 100 m z czasem 9,76 sek. i sprinterki – 10,62 sek.; skok wzwyż (analogicznie) – 2,40 m i 2,05 m; skok w dal – 8,95 m i 7,50 m; mistrzowie pływacy na 100 m w stylu dowolnym będą musieli legitymować się czasem 48,77 sek. a pływaczki klasyczne, na tym samym dystansie 1.08,82 min. ...

Docelowe dane obliczono również dla uczestników olimpiady zimowej w Sarajewie, głównie dla łyżwiarzy szybkich.

Ciekawie wygląda zestawienie danych jeżeli chodzi o prognozy na rok... 2000 (szkoda, że komputer nie przewidział, gdzie wówczas odbędą się igrzyska). I tak najlepsi sportowcy przełomu XX i XXI wieku rzucać będą oszczepem na odległość 105 m, pchać kulą – 26,30–26,50 m, skakać o tyczce – 6,88–6,92 m, a wzwyż – 2,47–2,50 m. Równie efektownie wypadną najszybsi sprinterzy, dla których wyznaczono na odcinku 100 m czas 9,53–9,58 sek. ...

Można z lekką rezerwą spoglądać na wszystkie te cyferki. Ale można też patrzeć na nie zupełnie realnie. Do tego drugiego podejścia zmuszają nas wyniki, które uzyskują dzisiejsi młodzicy. Przecież międzynarodowy rekord czwórboju „Świata Młodych" w konkurencji skoku wzwyż wynosi obecnie prawie 2 m. Mistrz ostatnich ogrzysk, Gerd Wessig, mając 15 lat skakał prawie 160 cm. A zatem postęp ogromny. Współcześni następcy aktualnych mistrzów atakują (i to we wszystkich dyscyplinach) pułapy niegdyś nieosiągalne dla tych drugich. Do zaakceptowania danych komputera zmusza także ciągły rozwój towarzyszącej wyczynowym sportowcom nauce. Włókno szklane, które zastosowano do produkcji tyczek nie jest przecież jej ostatnim wynalazkiem. Identycznie ma się rzecz z coraz szybszymi „dywanikami" bieżni, systematycznie doskonalonymi urządzeniami, sprzętem, a nawet obuwiem i ubiorem.

Opracowuje się również, zwłaszcza w konkurencjach technicznych, nowe metody pokonywania wysokości, czasu i odległości. Fenomenalny obecnie wyczyn Boba Beamona (8,90 m skoku w dal) i inne znakomite dziś rezultaty będzie się wymieniać w przyszłości tak, jak robimy to współcześnie z opisanym we wstępie rezultatem Williama Heughta...

(zp)

Fot. Z. Przybyłowski i CAF

W roku 2000 królowi sprinterzy mieli osiągać [illegible] na 100 m czas [illegible]

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW
Redaguje LECH NOWICKI

KLAUS SCHULZE W POLSCE

W dniach od 30 czerwca do 11 lipca gościł w naszym kraju, wraz z własną ekipą, jeden z najbardziej znanych muzyków z kręgu „elektronicznego rocka", współtwórca tego gatunku – Klaus Schulze. Przybył na zaproszenie Pagartu; koncertował kolejno w Krakowie, Katowicach, Wrocławiu, Poznaniu, Kaliszu, Łodzi, Warszawie i w Gdańsku. Wszędzie przyjmowany entuzjastycznie, przy nadkompletach na widowni, na każdym recitalu składany do kilkakrotnego bisowania.

Od strony organizacyjnej poszczególne imprezy zorganizowane były wzorowo. Do poziomu wykonywanej muzyki dołączyła także publiczność. Nawet ta jej część zachowująca się na występach grup rockowych na ogół niesfornie, odmieniona komputerowo – syntezatorową muzyką Schulze'a autentycznie przeżywała wszystko to, co oferował kompozytor. Były to m.in. utwory z najnowszego, piętnastego albumu „Audentity" (Słuchowa tożsamość), nowe kombinacje, a także parę „muzycznych biografii" znanych z jubileuszowego albumu „X". Nie była to oczywiście ta sama muzyka znana z wcześniej wydanych płyt. Kompozycje Klausa Schulze'a powstają bowiem podczas spotkań z publicznością spontanicznie. Choć większość struktur jest wcześniej przygotowana, komputery zaprogramowane, a i filmy wraz z grafiką video i kolorowymi światłami wyświetlane są niekiedy synchronicznie z muzyką, artysta tworzy „na gorąco"; emocje z widowni działają jak swoiste sprzężenie zwrotne. Owo duchowe zespolenie z widzami kumuluje muzyczne emocje. Wszystkie koncerty Schulze'a były przez jego realizatorów nagrywane techniką cyfrową, łącznie z reakcjami publiczności. Już po przyjeździe do Polski artysta zdecydował się na wydanie płyty „Live", będącej plonem jego pobytu w naszym kraju. Zachwycony organizacją i gorącym przyjęciem, obiecał ponowne wizyty.

Muzyka Schulze'a powstaje na kilkunastu elektronicznych instrumentach. W trakcie koncertów najważniejsze są dwa komputery G.D.S. Na jednym z nich grał gościnnie Rainer Bloss – absolwent Akademii Muzycznej w Weimarze. G.D.S. wyposażone są w specjalne monitory, co ułatwia ich obsługę, ponieważ w zależności od przebiegu programowania, pojawiają się na ekranach odpowiednie symbole. Schulze dysponuje syntezatorami różnych firm, m.in. polifonicznych Polymoogiem, i co ciekawe, urządzeniem AKS – pionierską konstrukcją syntezatora do efektów specjalnych, nieco przestarzałą, lecz wciąż przydatną do realizacji dźwięków szumowych, gromów, struktur rytmicznych. To co w komputerach odbywa się niemal automatycznie, zgodnie z programem, w syntezatorze AKS jest sterowane ręcznie.

Daje się zauważyć (być może jest to wpływ Rainera Blossa), iż w muzyce Klausa Schulze coraz częściej pobrzmiewają echa muzyki klasycznej, zwłaszcza XX-wiecznej. Kompozytor nie stroni od imitowania elektronicznie dźwięków instrumentów smyczkowych w pełnej obsadzie kwintetu. Interesują go bardzo utwory G. Ligetiego, C. Orff'a i E. Satie.

Mimo tych inspiracji, twórczość Schulze'a jest bardzo oryginalna. I należy on do wąskiego grona muzyków, którzy pozostali wierni własnym artystycznym założeniom od pierwszych lat solistycznej działalności.

Podsumowując. Koncerty Schulze'a miały w sobie coś z misterium, klimat autentycznego obcowania z muzyką o wielkiej sile oddziaływania... co rokuje chyba tego typu muzyce przyszłość i w naszym kraju.

9 lipca, w sobotę, bezpośrednio przed koncertem na warszawskim Torwarze, słynny artysta odwiedził Polskie Radio, będąc gościem audycji „Zapraszamy do Trójki". Opowiadał o swych wrażeniach, o gorącym przyjęciu zgotowanym mu przez polskich fanów. Stwierdził, że jego muzyka, choć realizowana na syntezatorach w oparciu o komputerowe programy, jest muzyką żywą, nie mechaniczną. Adresowaną do wrażliwego odbiorcy. Ograniczenia z tego typu twórczości nie wynikają z barier technologicznych. To raczej artysta wytycza granice własną wyobraźnią i warsztatowym przygotowaniem. Zapytany, czy nie czuje się przypadkiem „Cyborgiem" (Postać z książki Franka Herberta, której kompozytor poświęcił swą „Kwadrofoniczną Symfonię") uwikłanym w połączenia z elektronicznymi obwodami, Schulze odpowiedział, iż tego typu odczucia są mu zupełnie obce. Kocha życie w jego najradośniejszych przejawach; i jego muzyka, choć niekiedy posępna i melancholijna, jest afirmacją ludzkiego tworzenia, działania w sferze ducha i techniki.

JERZY KORDOWICZ

PIOSENKI NA ŻYCZENIE...

Bruce-Lee-karate-mistrz

słowa: **Andrzej Spol**
muzyka: **Andrzej Korzyński**
śpiewa: **Franek Kimono**

Wielu – ba! bardzo wielu naszych czytelników prosiło o słowa dwóch przebojów Franka Kimono. Oto pierwszy z nich: „Bruce Lee – karate mistrz".

Nie rycz mała – nie rycz,
ja znam te wasze numery!
Twoje łzy lecą mi na koszulę
z napisem King-Bruce-Lee – karate – mistrz!
King-Bruce-Lee – karate – mistrz!

Ja w klubie Disco mogę robić wszystko.
Wyciągam damy spod opieki mamy
i małolaty spod opieki taty.
Na bramce stoję, nikogo się nie boję,
Ja jestem King-Bruce-Lee – karate – mistrz!

Gdy trzeba będzie, ja ciebie obronię,
znam parę chwytów – cialem zasłonię,
ciosy karate ćwiczyłem z bratem.
Ja jestem King-Bruce-Lee – karate – mistrz!

Już ci mówiłem, mała, nie rycz,
mam w sobie dzikość żółtej pantery,
w tej dyskotece nie ma frajera,
co by podskoczył lub ze mną zadzierał!
Ja jestem King-Bruce-Lee – karate – mistrz!
King-Bruce-Lee – karate – mistrz!

Gdy ja dołożę, wtedy nie daj Boże,
reanimacja nawet nie pomoże,
po dobrej wódzie – lepszy jestem w dżudzie.
Ja jestem King-Bruce-Lee – karate – mistrz!
King-Bruce-Lee – karate – mistrz!

Nie rycz mała – nie rycz,
ja znam te wasze numery,
twoje łzy lecą mi na koszulę
z napisem King-Bruce-Lee – karate – mistrz!
King-Bruce-Lee – karate – mistrz!

Twoje łzy lecą mi na koszulę
z napisem King-Bruce-Lee – karate – mistrz.

Duran Duran...

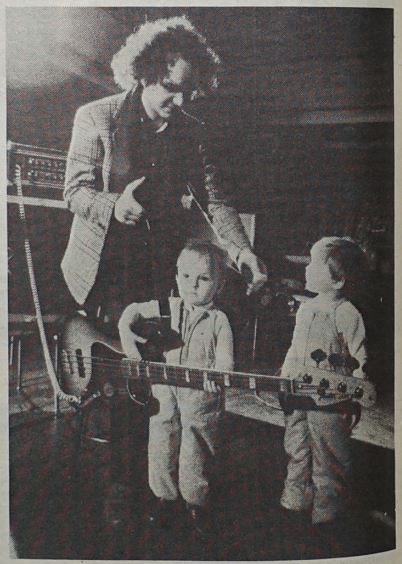

CZYM SKORUPKA...

Tak, tak kochani. Muzyczną edukację należy rozpoczynać jak najwcześniej, czego dowodem to właśnie rodzinne zdjęcie Andrzeja Nowickiego (Perfect). Łukasz i Krzysztof zajmą niebawem miejsce ojca – ciekawe czy w... Perfekcie?

Fot. **Ryszard Gajewski**

...czyli Andy Taylor, Simon Le Bon, John Taylor, Roger Taylor i Nick Rhodes, czyli... new romantic. Przeboje tej grupy – „Planet Earth", „Girls On Film", „My Own Way??", „Hungry Like A Wolf" i „Save A Prayer" i u nas cieszyły się wielką popularnością.

PROTEZA STEROWANA PRZEZ MÓZG

RFN (PAP). Pomysł wykorzystania elektrycznych impulsów do sterowania ruchem sztucznych kończyn – protez, od dawna nurtuje specjalistów inżynierii biomedycznej. Jeden z problemów technologicznych stojących na drodze do budowy urządzeń będących elektronicznymi protezami mięśni rozwiązano w Grau Feinwerktechnik (w RFN) przy współpracy specjalistów z Aalen Technical College.

Skonstruowano sztuczną rękę kontrolowaną przez niewielkie silniczki tak dokładne w działaniu, że umożliwiają protezie ruchy zaskakująco podobne do gestów żywej ręki. Urządzenia elektroniczne wzmacniają impulsy mózgu 40 tys. razy, przez co są one zdolne zmienić prędkość silnika tak, że siła ściskania jest niezwykle precyzyjnie regulowana. Ta proteza może być użyta przy piciu wina ze szklanki bez obawy pokruszenia, potłuczenia szkła. „Przystosowalna ręka" – tak określili tę protezę wynalazcy – różni się od większości pozostałych. Projektowano ją z myślą o osiągnięciu podobieństwa do żywej ręki z normalnych rozmiarów kciukiem i czterema palcami. Kciuk na oddzielny silnik, pozostałe 4 palce są sterowane innym. Po dostosowaniu protezy przez lekarzy wystarczy kilka tygodni, by pacjent nauczył się posługiwać sztuczną ręką. **(jo)**

„TWÓRCZOŚĆ UBOCZNA" WIELKICH REŻYSERÓW

WŁOCHY (PAP). Film to gatunek sztuki, na który składa się wiele procesów twórczych: scenariusz, gra aktorów, zdjęcia, muzyka itp. Reżyser łączy wszystkie te procesy w jedno i przede wszystkim musi mieć wizję całości. Federico Felliniemu, słynnemu włoskiemu reżyserowi, w realizacji tej wizji pomagają rysunki.

Historyk sztuki – prof. Pier Marco de Santi zebrał je, opatrzył komentarzem i opublikował. Książka ma tytuł prosty „Rysunki Felliniego" („I Disegni di Fellini"). Publikacja okazała się bardzo interesującym dziełkiem i to nie tylko dla filmowych widzów.

Przed dwoma laty profesor wydał książkę z rysunkami innego reżysera – mistrza radzieckiej kinematografii – Sergiusza Eisensteina. Ciekawie wypada porównanie tej „ubocznej" twórczości obu reżyserów. Podczas gdy Eisenstein był w swych rysunkach – by tak rzec – architektem, Fellini jest karykaturzystą. Eisenstein przestrzegał ładu i symetrii, Fellini odwrotnie. Ta różnica, wynikająca chyba z odmienności osobowości artystów, pełny wyraz znalazła jednak na ekranie. **(eb)**

Panda – co prawda złota – marzeniem kolekcjonerów

(PAP). Po raz pierwszy w swej historii bank chiński wydał złotą monetę. Na jednej stronie widnieje wizerunek Świątyni Niebios w Pekinie, na drugiej – portrecik misia pandy, objadającego gałązkę bambusa. Monetę wybito w czterech różnych wielkościach, od jednej dziesiątej uncji do uncji.

„Złota panda" ma w zamierzeniu jej twórców stać się konkurencją dla takich słynnych monet jak południowoafrykański Krugerrand, czy kanadyjski Liść Klonu. Na razie jest marzeniem kolekcjonerów. Pierwsza emisja była niewielka – 20 000 uncji złota. Większość monet trafiła do kolekcjonerów z Japonii i Hongkongu. Za „złotymi pandami" uganiają się także jubilerzy. **(kl)**

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dzisiaj – raj dla początkujących abrakadabrystów, tych którzy dopiero od niedawna interesują się naszym kącikiem: łamigłówki i proste zadania. Kto tego nie lubi? Kłaniam się i – do roboty!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

SAMOCHÓD Z DZIURĄ

Ten dziwny samochód ma u dołu „puste koło". Trzeba w nie wpasować jedno z „kół" z góry. Tylko jedno zawiera autentyczny fragment rysunku, inne są fałszywe. Czy wiesz, które jest prawdziwe?

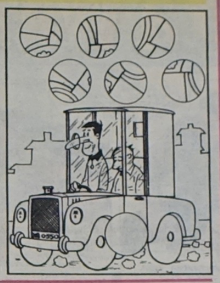

DLA NAJMŁODSZYCH

Obrazki są nieco pomieszane, ale ty masz je ustawić tak, by każdemu obrazkowi z lewej kolumny odpowiadał obrazek z prawej kolumny. Zaczynaj!

Odpowiedzi z poprzedniej soboty:

ZAGADKA STAREGO KRUKA: kruk mówi „Gdzie łyżka pani z pierwszego piętra?" A jest ona na gałęzi drzewa w prostokącie E-2 (patrz rysunek).

MAGICZNY KWADRAT

Ten kwadrat wpisany w chińską starą pagodę jest magiczny. Dlaczego? Musisz sam to odkryć, ja ci tego nie podpowiem!

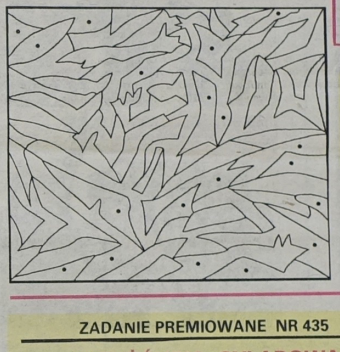

TEATR CIENI ABRAKADABRY

Popatrz na ten rysunek i postaraj się wyodrębnić wzrokiem w jedną całość te jego fragmenty, które oznaczono kropkami. Czy układają ci się już w jakiś obraz – wizję? Teraz weź długopis lub ołówek i starannie zamaluj te obszary z kropkami. Rozwiązanie otrzymasz natychmiast, bo na tym polega nasz teatr cieni.

ZADANIE PREMIOWANE NR 435

KRZYŻÓWKA SYLABOWA

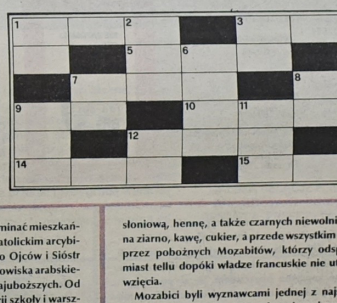

Odgadnij wyrazy o podanych znaczeniach i wpisz je do diagramu tak, aby w każdym polu znalazła się jedna sylaba. Rozwiązanie prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 435".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW: POZIOMO: 1) kraj w Azji Wschodniej, 3) czynność lekarska, której poddawany jest chory, 5) aligator lub kajman, 7) grecki bóg słońca, opiekun sztuki oraz nauki, 8) konny wóz załadowany np. sianem, 9) wieloletnia roślina o silnej, ostrej woni, rosnąca na nieużytkach; kojarzy się z gorzkim smakiem, 10) stolica Cypru, 12) gruczoł krokowy (linia wyznaczona przez dwa punkty + zaimek wskazujący), 14) tysięczna część tony, 15) wybawienie (skojarz z ostatnią deską).

PIONOWO: 1) zimowe okrycie z baraniej skóry, 2) wzgórze w centrum Aten, 3) sucha łodyga, 4) fajtłapa, niezgraba, 6) osadnik, 7) kamień tamujący krwawienie, używany po goleniu, 8) strzelba myśliwska, 9) śpiewane nie tylko w Opolu i Sopocie, 11) zasłona, 12) plan działania, pracy, 13) pleciony z kwiatów.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 430 z 75 numeru „Świata Młodych" z dnia 25.06.1983 r.

Witaj lato! (przywódca, kornisz on, baletnica, piekarnik, strojenie, rewelacja, mortadela, piastunka, koniokrad).

Nagrody wylosowali: Kazimierz Budnik – Gorzyce, Marek Grygielski – Brodnica, Ola Krakowska – Płakowice, Grzegorz Krantz – Oświęcim, Grażyna Łazicka – Zielona Góra, Robert Łubianka – Ryki, Agnieszka Stapor – Warszawa, Beata Świerzko – Międzyrzecz Wlkp., Danuta Wendykowska – Sopot, Zbigniew Winter – Katowice.

Może nie chciano drażnić cudzoziemców albo przypominać mieszkańcom Biskry o księdzu Lavigerie – pierwszym rzymskokatolickim arcybiskupie Algieru, założycielu Zgromadzenia Zakonnego Ojców i Sióstr Białych. Nakazywał misjonarzom zbliżenie się do środowiska arabskiego, poznanie języka i podjęcie pracy fizycznej wśród najuboższych. Od połowy dziewiętnastego stulecia zakładali oni w Algierii szkoły i warsztaty rzemieślnicze, szpitale i przytułki, cierpliwie urabiając swych podopiecznych na obraz i podobieństwo francuskich wyznawców Chrystusa. Lavigerie zabiegał też skwapliwie o nawracanie tubylców; sensacją Algieru stał się ślub, którego udzielił szeikowi bractwa religijnego Tedżani i pannie Aurelii Picard, ponętnej francuskiej guwernantce.

– Co najciekawsze – opowiadał profesor – ów przedsiębiorczy ksiądz nie tylko powołał organizację międzynarodowe dla wykupu afrykańskich niewolników, ale założył ostatni już chyba w dziejach zakon rycerski, który miał orężnie walczyć z handlarzami żywym towarem. Nazywał się ten zakon „Les pionniers du Sahara", siedzibą jego była właśnie Biskra.

Dla Daniela nie były to rewelacje. Przed wyjazdem do Algieru naczytał się o handlarzach niewolnikami. Pamiętał, że w procederze tym pośredniczyli najprawowierniejsi z muzułmanów – Mozabici. Ghardaia, położona w centrum pustyni, była miejscem postoju wszystkich karawan zdążających z południa na północ i z północy na południe. Beduini przywozili skóry dzikich zwierząt, pióra strusie, kość słoniową, hennę, a także czarnych niewolników, i wymieniali te dobra na ziarno, kawę, cukier, a przede wszystkim na broń i proch, wyrabiany przez pobożnych Mozabitów, którzy odsprzedawali Murzynów do miast tellu dopóki władze francuskie nie utrudniły im tego przedsięwzięcia.

Mozabici byli wyznawcami jednej z najstarszych doktryn islamu, abadyckiej, opierającej się wyłącznie na koranie i nie uznającej nawarstwionych przez wieki tradycji. Stanowili sektę stosunkowo nieliczną, ale w zmiennych kolejach losu. Tutaj właśnie, w sercu Sahary, udało im się stworzyć wielkie państwo Tiharet, obejmujące swym zasięgiem cały Ued Rirh, Uargle i oazy Trypolitanii. Miasto Tiharet, zbudowane na południe od Algieru, było ośrodkiem nauki, zwłaszcza teologii, ale też magii i astrologii.

Wśród niewielu uczonych europejskich, którzy badali osobliwą kulturę M'zabu, wielkie zasługi położyli Polacy. Motyliński opracował bibliografię M'zabu, a raczej coś na kształt encyklopedii bogatego piśmiennictwa abadyckiego, i ogłosił wiele prac na ten temat. Zygmunt Smogorzewski jeszcze przed pierwszą wojną światową zbierał w M'zabie teksty abadyckie, a w latach międzywojennych, już jako profesor uniwersytetu lwowskiego, nadal prowadził tutaj swoje poszukiwania. Pozyskał taką przychylność teologów abadyckich, że pozwolili mu poczynić odpisy ksiąg niedostępnych dla innowierców. Zamierzał wydać w Algierze klasyczny zestaw literatury abadyckiej. Śmierć udaremniła jego plany, teksty pozostały w seminarium orientalistycznym uniwersytetu lwowskiego.

– Ciekawa rzecz – mówił Olafson. – Mozabici, choć biegli w języku arabskim, są Berberami i mówią po berbersku, lecz piszą już tylko po arabsku.

– Mówi pan o nich z takim przejęciem, jakby i pana również zafascynowali – stwierdziła z przekąsem młoda Angielka, która, jak sądził Daniel, wolałaby sama stać się przedmiotem zainteresowania.

– Ależ tak! – przyznał profesor. – Jest bowiem w ich egzystencji coś, czego na zdrowy rozum nie da się wytłumaczyć. Ścieśnieni w paru miastach muszą się liczyć z każdą kroplą wody, której i tak nie starcza dla coraz liczniejszej ludności. Wielu Mozabitów zaraz po skończeniu szkoły i zawarciu małżeństwa wyrusza na północ kraju w poszukiwaniu pracy. Żaden z nich nie zabiera żony, kobietom bowiem nie wolno się stąd oddalać. Bogobojni mężowie przysyłają więc rodzinie pieniądze na utrzymanie i przyjeżdżają w odwiedziny, aby zapewnić sobie potomstwo. Ale na stałe wracają dopiero pod koniec życia, właśnie wówczas, gdy już dorobiwszy się jakiej takiej pozycji na północy, mogliby spokojnie korzystać tam z owoców swej pracy. Wracają tutaj i znów podejmują trudną walkę o byt, w pocie czoła zdobywają każdą kroplę wody.

– Co ich do tego skłania?

– Tradycja... Chęć bycia u siebie... Przymus wewnętrzny... Nie wiem. Współczesny Europejczyk nie może tego zrozumieć.

Cdn.

dwa lata wakacji

W/G JULIUSZA VERNE'A
SCENARIUSZ I RYSUNKI
TADEUSZ RACZKIEWICZ

25

ŚWIAT MŁODYCH

Ukazuje się we WTORKI CZWARTKI I SOBOTY

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-932X

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61 Sekr. redakcji 28-25-48 Dział Łączności z Czytelnikami—21-81-13 (czynny w godz. 11–15) TELEX 81-36-58

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. naczelnego), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73 Dział Wydawniczy 29-35-52.

Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne **Szarlota Pawel**

Opracowanie techniczne **Jerzy Rusak**

Korekta **Barbara Wasilewska**

Nakł. 500 000

DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr. zam. 2853/G M-84

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY

00-561

UŚMIECH NUMERU

– HALO, Jack, co ci jest? Zęby cię bolą?
– Yes. Doktor mi wyrwał dwa!
– Ale przecież bolał cię tylko jeden...
– Yes. Ale on nie miał reszty z dziesięciodolarówki...

★

MARYNARZ Morton odbył swój pierwszy rejs do Afryki. Chciał się wykąpać w rzece w pobliżu portu i poprosił jednego z tubylców o wskazanie miejsca, gdzie nie ma krokodyli. Miejsce okazało się świetne, ale Morton pyta po kąpieli innego tubylca, dlaczego tu nie ma krokodyli.
– Bo się boją rekinów!

Daniel wręczył mu prace przekazane przez Wapieńskiego, ale nie próbował nawiązać rozmowy. Szwed jednak był ciekaw, skąd chłopak wziął się tutaj „wśród starców", jak mówił, i czy długo jeszcze pozostanie. Daniel czuł instynktowną nieufność do ludzi zbytnio wykorzystujących swe towarzyskie talenty, odpowiadał więc powściągliwie i zdawkowo. Olafson mówił tym samym tonem, tak jednak umiał pokierować rozmową, że chłopak powiedział o sobie więcej, niż zamierzał, i pożegnał Szweda z poczuciem własnej porażki, ale i odrobiny zadowolenia, bo każdy lubi być przedmiotem czyjegoś zainteresowania – profesor zaś uchodził za sławę w swojej specjalności, jeśli wierzyć w tym względzie Wapieńskiemu. Łączyło tych dwóch niejakie podobieństwo, wywołane zapewne obracaniem się w podobnych kręgach naukowo-towarzyskich, stosowaniem takich samych metod dla rozpowszechnienia własnych osiągnięć i szukaniem dalszych szczebli kariery. Kojarzyło się to Danielowi z zasadą perpetuum mobile; osąd był zapewne niesprawiedliwy, podyktowany wyniesionym z domu przekonaniem, że uczony winien być skromny i pracować dla dobra ludzkości, nie dla własnej sławy czy korzyści. Skinnerowi również nigdy by nie przyszło do głowy chlubić się w towarzystwie swymi sukcesami na polu matematyki.

Przyjazd Szweda odmienił zatem tryb życia w sanatorium. Robiono wspólne wycieczki, wieczory spędzano na rozmowach, oglądano przezrocza z wypraw naukowych i amatorskie filmy dokumentalne. Daniel zrazu stronił od towarzystwa, lecz rychło tak polubił wspólne spotkania, że coraz później wracał do swojego pokoju.

Sceptycznie nastawiony do skuteczności leczniczych zabiegów ze zdziwieniem stwierdził pewnego ranka, że nie tylko ustąpiły bóle, lecz bez śladu znikły obrzmienia deformujące jego stawy. Nie odczuwał ani zmęczenia, ani apatii. Tym bardziej korciło go, by ruszyć gdzieś, wszcząć poszukiwania Blanki – choć zdawał sobie sprawę, że to równie trudne, jak znalezienie igły w stogu siana.

Nadal spotykał w barze rudego Holendra, który przesiadywał tam nad szklanicami piwa gadając z przygodnymi znajomymi, ale do kuracjuszy się nie przyłączał. Intrygowało Daniela, co ten Van Horch robi w Biskrze, skoro nie bierze kąpieli, mało chodzi po mieście i niczym właściwie się nie zajmuje. Kim był? Kupcem, podróżnikiem, plantatorem? Nie należał z pewnością do elity intelektualnej typu Olafsona, lecz mówił biegle paroma językami, miał rozległą praktyczną wiedzę i ogromną łatwość zjednywania sobie ludzi. Każdy czuł się z nim swobodnie, chętnie słuchał jego kawałów, odpoczywał w rubasznym, wesołym nastroju. Zdawać by się mogło, że Van Horch tylko po to się urodził, by rozjaśnić świat swą rudą czupryną i uśmiechem od ucha do ucha. Ale jego bladoniebieskie oczy przenikały ludzi na wskroś, ze słów zaś czasem przebijała ironia wiele dająca do myślenia. W przeciwieństwie do Olafsona budził w Danielu sympatię i zaufanie, mimo że jakiś wewnętrzny głos ostrzegał, by nie poddawał się bezkrytycznie urokowi Holendra, który co parę dni zapytywał wesoło:

– No i kiedy ruszasz na poszukiwanie swej damy?
– Jak tylko zdobędę jej adres.
– I numer telefonu! – śmiał się Van Horch. – Pamiętaj, umowa stoi.

Olafson tymczasem przyniósł wiadomość, że w tutejszym ośrodku kulturalnym miano wygłosić pogadankę o perfidii chrześcijańskich misjonarzy doby kolonialnej, lecz że w końcu odczyt został odwołany.

Dokończenie na str. 7